

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Szkoła podchorążych piechoty, a wybuch rewolucji

29. listopada 1830.

Między nadziejami, żywionemi w obozach Napoleona, a między ich spełnieniem w tej formie, jaką im nadał traktat wiedeński, i jak je w czyn wprowadził Aleksander, była bardzo wielka różnica; wprowadziła ona wewnętrzny ferment, z którego zrodziła się najpierw opozycja sejmowa, dalszym jej skutkiem było utworzenie się tajnych towarzystw, z oswobodzeniem Polski na celu. — Za tę pracę Łukasiński i towarzysze jego skazani zostali do Zamościa.

Lepszy los wypadł dla ich następców z Sewerynem Krzyżanowskim na czele, bo choć i oni zostali aresztowani, to jednak stawieni przed sąd sejmowy, a nie jak poprzednicy przed sąd wojenny, zostali od wszelkiej winy uwolnionymi.

Ten wyrok wywołał ogólny entuzjazm w kraju, to też pod wpływem jego, jako też i ogólnego usposobienia Europy, a wreszcie i wypadków na wschodzie, zawiązuje się nowe towarzystwo tajne między uczniami szkoły podchorążych.

Szkoła ta założoną została 28. lipca r. 1815. i miała na celu wyrabianie sił oficerskich armji Królestwa. Kandydatów do niej miał wysyłać każdy pułk piechoty w liczbie 13 — niejednokrotnie jednakże liczba ich dochodziła do 23 a nawet 25.

Między nimi były dwie kategorie; jedni byli to ochotnicy, powszechnie kadetami zwani, którzy po krótkiej stosunkowo służbie frontowej, dosłużywszy się stopnia podoficera, dostawali się z pułku do tej szkoły — z tytułem podchorążych — drudzy zaś byli to już wysłużeni podoficerowie, którzy dopiero po kilkuletniej służbie pułkowej byli tam oddawani prawem starszeństwa.

Elewi pozostawali w szkole kilka lat, a po zdaniu egzaminu przed W. księciem szli w miarę

zapotrzebowania jako podporucznicy, przeważnie jednak w braku takich miejsc na instruktorów do rozmaitych pułków.

Wyższego wykształcenia oni nie posiadali, ani nie pobierali. Na czele szkoły stał pułkownik Ołędzki, — prócz niego zaś było pięciu oficerów, pełniących funkcje nauczycieli. Uczono w szkole przede wszystkim służby frontowej i musztry. Dopiero na kilka lat przed wybuchem zmieniono nieco system wykładów, wprowadzając naukę języków i nieco taktyki i teorii polnych fortyfikacji. Te nauki napotkały na bardzo wielkie trudności, ponieważ byli między podchorążymi ludzie, którzy, jak twierdzi Mroziński w swych notatkach, ledwie czytać i pisać potrafili. W ogólności ludzie, z tej szkoły wychodzący, wynosili nie wiele więcej ponad wyborną znajomość obrotów wojskowych. A przecież im przypada w udziale nie tylko zapoczątkowanie, ale i przyprowadzenie do skutku wielkiego planu.

Owóz 15. grudnia 1828 r. na koleżeńskim zebraniu u Piotra Wysockiego, niedawno zamianowanego podporucznikiem w pułku grenadierów gwardji, a przydzielonego na instruktora szkoły podchorążych, człowieka średnich zdolności, lecz wielkiego patriotyzmu i znakomitej ofiarności dla sprawy publicznej — ujawniła się w trakcie rozmowy po raz pierwszy w tem gronie myśl wyzyskania nadarzyć się mogącej, już nawet w krótkim czasie, sposobności polepszenia bytu ojczyzny. Myśl ta, rzucona wśród obecnych wówczas podchorążych Karola Paszkiewicza, Józefa Dobrowolskiego, Karola Karśnickiego, Aleksandra Łaskiego i Józefa Górskiego, przybrała nazajutrz t. j. 16-go konkretniejsze kształty, przez związanie się w tajny związek, do którego dobrano sobie jeszcze kilku

podchorążych, jak Kamila Mochnackiego, Stanisława Ponińskiego i Seweryna Cichowskiego.

Cele i środki, doń wiodące, określała mniej więcej odczytana na tem posiedzeniu przez Karśnickiego rota przysięgi, która według relacji Wysockiego miała brzmieć:

„Przed Bogiem i Ojczyzną naszą ujarzmioną, odartą z praw i przywilejów konstytucyjnych przysiegamy:

„Naprzód: nie wydać na przypadek uwięzienia żadnego członka zawiązującego się tu Towarzystwa, choćby z tego powodu przyszło ponieść najsrozsze męczarnie.

„Powtóre: połączyć wszystkie usiłowania, poświęcić życie, gdy tego będzie potrzeba, w obronie zgwałconej ustawy konstytucyjnej.

„Po trzecie, ostrożnie rozszerzać związek za wiedzą podpisanych członków towarzystwa, nie przyjmując ani pijaków, ani szulerów, ani ludzi skazitelnego charakteru pod jakimkolwiek bądź względem“.

Co do prawdziwości jej brzmienia, to należałoby ją zakwestjonować, chociażby dlatego, że nawet sam Wysocki daje pewne zastrzeżenie, mówiąc przy jej cytowaniu, „jeśli mnie pamięć nie zawodzi“.

Drugą rzeczą ciekawą, jest brak najważniejszego punktu, omawiającego dokładnie cele tego towarzystwa; twierdzenie bowiem drugiego punktu: „żeby połączyć wszystkie usiłowania, poświęcić życie w obronie zgwałconej ustawy konstytucyjnej“, jest zbyt iluzorycznym, zbyt niejasnym, by go można uważać za mianownik tego związku. Brak też tego wyświetlenia i w 2 innych punktach, które są najzwyklejszemi formułami, do niedawna silnie rozwiniętego rytuału wolnomularskiego.

Wobec tego wynikają dwa przypuszczenia, że albo Wysocki, rozmyślnie czy też przypadkiem zamilczał o tym punkcie, lub go wcale nie było.

Przeciw pierwszemu przemawia i charakter dotąd nieskazitelny autora i świadectwa współczesnych, którzy podają tę przysięgę tylko w tem, a nie innym brzmieniu.

Zdaje się więc, że jasnego planu działania wówczas jeszcze nie było, że ograniczano się na razie na pracę agitacyjną przyjmowania członków, a ostateczny plan miał się ułożyć później.

W myśl więc tego planu, w parę dni potem przystępują do związku: kapitan grenadierów gwardji Kazimierz Paszkowicz, podporucznicy saperów Przedpeński i Nowosielski, oficer I. p. strzelców p. Koszucki i kilku innych oficerów.

Mimo sympatycznego przyjęcia u swych towarzyszy związkowi odczuwali brak człowieka, posiadającego wyrobione imię, zdolne przemówić do ogółu. To też Wysocki, wysłał Karola Paszkiewicza do Niemcewicza z prośbą o radę i poparcie. Ten przyjął życzliwie podchorążego, radził jednakże nie brać się zaraz do działania. To napomnienie zaś odnosiło się do jeszcze niejasnego planu insurekcji wiosną 1829 r. w czasie wojny rosyjsko-tureckiej, która właśnie się toczyła, z wynikiem dla Rosji wcale niepomyślnym.

Ten opłakany stan Rosjan, okryty pozornymi zwycięstwami, znany był w Królestwie i natychmiast podchorążych myślą zrobienia dywersji na tyłach zdemoralizowanej już armji rosyjskiej.

Wobec jednak oświadczenia Niemcewicza, nie pewnego jeszcze wyniku wojny i małego jeszcze znaczenia związku odroczone powstanie na późniejszą porę, ograniczając zakres prac na przyjmowanie nowych członków.

Poczęto przyjmować też i cywilnych: na początku więc 1829 r. wchodzi do związku posłowie sejmowi Franciszek Trzcziński, Gustaw Małachowski i Walenty Zwierkowski.

Dla wspólnego porozumienia się odbyły się nawet dwa posiedzenia, jedno u Gustawa Małachowskiego, a drugie u Wysockiego, gdzie też zdecydowano czekać do wkrótce zwołać się małego sejmiku — o czem prawie że pewne krążyły już wieści. Do tego też czasu miano odroczyć wszelką działalność.

Mimo tej uchwały Wysocki, który był przeciwny takiej stagnacji, nie przestał związku rozszerzać, nowe zaś wieści dodały im bodźca.

W kwietniu bowiem zaczęto mówić o koronacji Mikołaja na króla polskiego. Aleksander I. wcale się nie koronował, byłby tego nie uczynił i jego następca, gdyby wypadki niefortunne nie popchnęły Mikołaja I do szukania wiernego sprzymierzeńca w narodzie polskim. Zaczął więc od drobnych dawek, jak ofiarowania armat tureckich, a chciał skończyć — koronacją.

Koronacja więc pobudziła związkowych do roboty. Wobec licznego zjazdu posłów zaczęto naradzać się nad sposobami wyzyskania tego momentu.

Trzcziński i Zwierkowski planowali wręczenie petycji Mikołajowi, domagającej się usunięcia nadzwyczajnych ograniczeń konstytucji, czemu jednakże większość się sprzeciwiła, będąc pod wpływem świeżych sukcesów armji rosyjskiej.

(C. d. n.)

Bronisław Pawłowski

Pamiętnik duszy.

(Zofia Filipowicz: „Pamiętnik“, wydanie pośmiertne — Kraków MCMV rok).

W gruby, ordynarny, szary papier ubogiej książki, jakby w drelichowy wór Nędzy przyodziany, staje przed nami płomienny, gorący duch — „wieczny rewolucjonista“.

Mocny, wolny duch... Czując się nim, poetka prawie zawsze przemawia w osobie męskiej, zaprzeczając tem instynktownie bałamutnemu, kłamliwemu podziałowi duchów na kobiece i męskie (patrz artykuł o kobiecie w „Eleuzis“) i stwierdzając, że duch nie ma płci, tylko że są nieśmiertelne duchy, wcielające się w ciała kobiece i męskie, i że na to, żeby być pewnym, że kobieta jest duchem równą mężczyźnie, nie trzeba ważyć mózgów. Dość jest wierzyć w Boga i w istnienie duszy. Schodzenie na nasz padół takich czystych duchów — płomieni, jak Filipowiczówna, podtrzymuje w nas tę wiarę, a nawet może ją rozniecić w najbardziej niewierzącym, wychłodzonym sceptyku.

Filipowiczówna, jako uosobienie Entuzjazmu i Zapału, jest w pewnych rysach pokrewną Żmichowskiej, a ze współczesnych Komornickiej...

Wszystkie one świadczą o duchu, jak płomienne znicze. Podobnych twórczyń ludzkość dotychczas posiada niewiele. Nic „kobiecego“ (w złem znaczeniu tego wyrazu), nic „babskiego“, ani krzty sentymentalizmu, czy też owej lubieżnej omdłości, tej „słabości“, kryjącej w sobie chytrze tyle perfidji... Sama prawość, szczerłość, entuzjazm, zapal. Poczucie dostojeństwa człowieka, powagi życia i odpowiedzialności za swoje czyny... Pośród kobiet „rarae aves“, białe kruki... Taką była „Siłaczka“ Żeromskiego. Znam takie w życiu... Takie kobiety, czyniąc same, mogą także natchnąć do wielkiego czynu, prowadzić na barykady Ducha!...

Do Komornickiej coś poprostu ciągnie Filipowiczównę. Pisze ona po rozprawie z kimś o „Forpocztach“ (zbiorze utworów Komornickiej, Nałkowskiego i Jellenty): „I oni to nazywają idjotyzmem, nieprzyzwoitością, pozowaniem! A zatem każdy szczery krzyk gorącej duszy, wrywający się mimowolnie w chwili oburzenia, a przez to właśnie w piękną, zgodną z kodeksem pospolitego piękna, formę nie ujęty, jest pozą, obłudą?“ Wiemy zaś wszyscy, cośmy je czytali, jak dalekim jest duch „Forpoczt“ od doktryny socjalistycznej, od wszelkich kategorycznych nakazów partji... Ale Filipowiczówna odczuła w tej niezwykłej książce Ducha —

„wiecznego rewolucjonistę“ i to ją pociągnęło... Wzruszającym jest, jak Filipowiczówna w jednym z najpłomienniejszych swoich wierszy („Odpowiedź“) chce „nawrócić“ Komornicką, natchnąć ją do „czynu“, którym ma być... agitacja socjalistyczna w Dąbrowie Górniczej. Jest to jakby społeczne „Wezwanie do Neapolu“. W męskim, spiżowo dźwięczącym na przenikający dreszczem ton jakiejś „Marseuilleuse’y“, czy „Czerwonego sztandaru“, nastrojonym tym wierszu, jak zresztą we wszystkich innych „pobudkach“ Filipowiczówny, od głębokiej, płomiennej wiary w słuszność sprawy robotniczej i w powodzenie socjalnej Rewolucji głębszą jest wiara w Wolność, w Ducha... „Duch ponosi“, jak powiada Wyspiański w „Weselu“...

Myliby się, ktoby sądził, że Filipowiczówna była wyzbytą uczuć ludzkich „virago“. Pośród potężnych pragnień, jakie rozsadały jej pierś szlachetną było i pragnienie szczęścia, do jakiego ma prawo każda kobieta. Tylko, że gorący, namiętny temperament Filipowiczówny, płonący czystym, nieskalanym życia płomieniem, poszedł na podtrzymywanie Duchowego Znicza, znalazł szlachetne ujście w ukochaniu Idei i poświęceniu jej życia. Filipowiczówna, tak samo jak jej duchowe rodzeństwo: „Siłaczka“ i doktor Judym z „Ludzi bezdomnych“ Żeromskiego, potężnym wysiłkiem woli, mocą ducha zwalcza w sobie pragnienie szczęścia osobistego, zagłusza potężny głos Przyrody, wołający ją w ramiona mężczyzny. Chwilę zmagania, pasowania się ze sobą poetka z wielką siłą oddała w wierszu „Raczej nie żyć“:

..Więc precz, moje tęsknoty, kuszące marzenia!
Przy Was siła Tytana — w lzy karła się zmienia..
Precz odemnie, przez bogi! bo wulkan mam w łonie
I gdy zbliżę brzeg czary — dusza w niej zatonie..
Zapomnę się, upoję dziko bez pamięci,
Jak szatani z dna piekiel nagle w niebo wzięci,
A potem zasną cicho... A gdy się obudzę,
Przeklnę własne sny ciche i pieczyoty cudze.
Przeklnę mierność swych pragnień, a gdy starczy siły,
Głowę kulą roztrzaskam. Spać — to snem mogliły!

Jak czyste, zupełnie pozbawione lubieżnego brudu, były dziewicze marzenia Filipowiczówny o miłości erotycznej, świadczy jedyny znajdujący się w tomiku, pełen rzewnej melancholji, słodczy i wdzięku erotyk:

...A kiedy walka mię utrudzi,
Kiedy zabolę pośmiech ludzi,
Lub własnej duszy sparzy żar —

Wtedy znużona i zmęczona
Głowę przytulę ci do łona
I pić pozwolę z ustek czar...

Kochała życie, zdając sobie sprawę z całego jego dostojństwa i powagi. Jakże przejmującym, pełnym wewnętrznego, z dna duszy płynącego szlochu, jest wiersz, napisany w przeczuciu bliskiej śmierci:

...A że ja sobie pójde w grób —
I cóż to szkodzi?
I tak nie działał, żywy trup:
Zastąpią młodzi.

„Młodzi!“ Pisze to młoda, dwudziestoczteroletnia kobieta, pochylona nad otchłanią grobu..

Tak samo, jak przed pragnieniem szczęścia, duch ten szlachetny, żądzą czynu, walki o Wolność, o Ideję, płomienny musiał się bronić przed „marzeniami“, do których ucieczka od szarego, pospolitego, chociażby najbardziej poświęconego Ideji życia, jest jednak nieodzowną potrzebą ducha. Właściwie nie są to nawet marzenia, a tylko odejście na chwilę od życia z pochodnią Edypa w tajemne mroki Sfinksu... Odejście takie może być tylko prawdziwym pokrzepieniem, wzmocnieniem dla ducha... W jednym tylko precudownym wierszu („Noc marzeń“) pozwoliła sobie Filipowiczówna na podobny „odjazd w marzenie“... A właściwie nie „w marzenie“, a w sfinksowe, metafizyczne, mroczne dziedzińca ducha... Jest coś z zagadkowości i grozy Edgara Poe w tej tajemniczej wizji:

...Otulona w blask miesiąca
Leżę w łodzi zlekka drżąca.
Zapatrzona w mroki...
I śród nocy tuż nademną
Widzę postać jakąś ciemną —
Wkoło wir głęboki

Postać w łodzi przy mnie siada,
Jakaś wonna, jakaś blade,
Wzięła ster dół ręki —
Twarzą ku mnie się nie zwróci
I cichutką piosnkę nuci
Ni to śpiew, ni jęki...

Nieodczutym, niezrozumianym przez najbliższe nawet otoczenie odszedł ten duch płomienny w Wieczność. Nie wszyscy może ze współczesnych Filipowiczówny wiedzieli, że mają pomiędzy sobą jedną z największych poetek współczesnego pokolenia, która chociaż odeszła młoda i ilościowo mało zostawiła po sobie utworów, pozostanie jednak, tak jak pozostanie na wieki wszelki duch... Poezja Filipowiczówny jest wołaniem Ducha o Wolność i to ją czyni trwałą, niezniszczalną przez czas, jak trwałem jest wszystko, co jest z Wieczności...

„...Ciągłe dążenie do wolności ruchów i wolności myśli, połączone z tym brakiem czułości

wości, nadawało jej w stosunkach z niektórymi ludźmi pewną oschłość, braną czasem za brak serca przez tych, którzy jej nie znali lub znając, nie potrafili zrozumieć“... Do tych słów zawartych w cieplej, widocznie przez towarzysza napisanej notatce biograficznej, możnaby dodać, że Filipowiczówna mogła istotnie wywierać wrażenie „oschłej“ na niewolnikach ducha... Oj, była ona tym ptakiem, o którym śpiewa:

...Przyleciał skądś maleńki ptak
I trzępie się radośnie
I śpiewa coś wesoło tak
I śpiewa coś o wiośnie!...

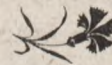
Nie zważa nic, że wkoło szron
I że wiatr mrozem dmucha;
Przyleciał, ot z nieznanych stron
I nie dba, kto go słuca.

O, ptaszku, stój! Nie wolno tu
Śpiewaniem grozić zimie!
Zabraknie sił, nie stanie tchu,
Bez echa piosnka zginie!

Uciekaj stąd, bo sypie śnieg
I zginiesz tu przedwcześnie;
Jeszcze nie wszedł twój złoty wiek
I ziemia jeszcze we śnie...

Podkreśliłem wyrazy *nieznanych stron*. Pomimo wszystko, można przyznać, że Filipowiczówna śpiewała „wesoło“, chociaż pełną bólu, krwi jest jej pieśń natchniona, gdyż marsyljanka jej poezji była z Ducha, z Wieczności, która jest jednym nieustannym hymnem na cześć Boga...

Wacław Wolski.



MARJA SEGENY.

Na pruskiej ziemi.

Na wzgórkach pod krzyżem, ukazała się gromadka ludzi z węzełkami w rękach. Wszyscy przegnębieli — mówią mało, z oczu tryska myśl, ciężka, trapiąca. To rodzina odprowadza młodych, świeżo zaciągniętych do wojska. Nie jednemu łąza gruba toczy się po twarzy, a z piersi wyrwa się tłumione westchnienie; żal za zagrodą, gdzie wzrósł i wychował się, za rodzicami starymi, za wszystkim, co drogie, co swoje, a co na długie lata opuścić trzeba. Stara kobieta, otulona szczerlnie

ciemną chustką, oparła się o ramię krzyża i łka rozpaczliwie. Jedyńka jej biorą, podporę jedyną i pociechę starości! Czy choć dożyje jego powrotu! Obok niej dwoje młodych trzyma się za ręce. On śniady, smukły brunet, brew marszczy i wargi przygryza — siłą tłumi wzruszenie. Ona, ładna blondynka, twarz łzami zalaną wznosi ku niemu z wyrazem bezgranicznej miłości.

— Nie płacz Nastuś, nie płacz dziewczyno — mówi młody drżącym głosem — trzy lata nie wieki — powrócę, cały i zdrowy, tylko ty mnie pamiętaj, bo mi ciebie trzeba jako rybie wody.

— Tomek — szepcze dziewczyna — a będziesz pisał — nie zaniechasz! do obcych idziesz, do obcych, a wrogich. Inni ludzie, inny kraj i inne obyczaje.

— Cichaj Nastuś — cichaj! Skąd ci ta niewiara we mnie. Dyć ty moja, jak ta zagroda nasza, co się tam het bieli między drzewami, jak ta ziemia święta, co mnie wyżywiła i kości na starość przyjąć musi. Nie chcę ja o tobie zapomnieć, nie chcę, tak mi Najświętsza Panienko dopomóż, i daj wytrwania i siły! Nie chcę zapomnieć o tobie, ani o matce starej, ani o wsi naszej cichej, ani o dobrych ludziach.

— A pamiętasz Tomek, jak ci zeszłej jesieni powrócił Jasek od Kuźmów? Po naszymu gadać zaniechał, ino tym zamorskim szwargotał ci językiem, — zabrał spłate po ojcach i do nich powrócił. Zadać mu coś musieli! Wielgie tam ponoś bogactwa! Każden pan, a żone to bryczką do kościoła wiezie.

— Ot, nie gadaj dziewucho, albo to ja dziecko, albo co, żeby mnie ich cuda ogłupić miały. Mądrzy ludzie mówią, że w mieście dalekiem ino nauka i rozum wszelaki dla człowieka jest. Nie zawadzi przyjrzeć się trochę, podpatrzeć — bo mówią — że u nich strasznie porządne mają być gospodarstwa, na roli się znają i koło niej chodzić umieją! Ty se do głowy nie przybieraj — matkę na opiekę ci zdaję — stara ci ona i niedołączna już — nijako jej bezemnie będzie! Pilnuj Nastuś, jak rodzonej!

Przypadł do kolan starej, stojącej pod krzyżem.

— Matusz — a nie lamentujcież tak, la bogal! Inni szli, a wracali przecież!

— Powracali — szepnęła stara — ale jacy! Pożal się Boże! odmieńcy! A Józek Sikora nie miał to prusaczki, na matkę dzieciom swoim! O! — a nie dajże mi doczekać tej sromoty!

— Matusz — prosił młody. — A wam co się stało? We mnie ufności nie macie nijakiej ni wiary! Toż ja wasz syn rodzony i jedyny! Hańbę bym na wasze siwe włosy spuścił! A kto mnie wychował? Wy matusz i ten kawał ziemi pocziwej — co nam ojcowie ostawili w spuściźnie! Niech mi obie ręce utną, jakbym miał o tem przepomnieć!

W tył głowę odrzucił i spojrział w niebo wzrokiem tak pewnym i śmiałym, że kobiety uspokoiły się trochę.

— W drogę, w drogę — zabrzmiał głos donośny. — Do miasteczka mila drogi, a tu wieczór już zachodzi.

Rozeszli się wszyscy.

Na wzgórku pod krzyżem, pod szarem niebem jesiennem — długo jeszcze stały dwie kobiety, patrząc upornie w ciemną stronę nieba, gdzie zbita gromadka ludzi niknęła w oddali.

Już ich niema — za las się skryli. Wieczór zapadł — chłodny wiatr jesienny przeciągle świślał i uganiał po ugorach. Noc ciemna, niby całun pośmiertny, obejmowała pola.

— Chodźmy matusz — napominała pierwsza Nastka — a nie frasujcie się tak. Widzicie, i mnie żal piersi rozpiera, ale mnie tęsknota nie zmoże. Sił mi trza teraz wielkich i myśli trzeźwej. Podwójna robota mnie czeka! U nas w chałupie zakrzętnąć się trza, a i was tak przecie nie ostawię. Ino nie frasujcie się zbytnio. A czas leci, ani się nie obejrzymy, jak go witać pod tym samym krzyżem będziemy.

— A daj Boże — odezwała się stara z bladym uśmiechem. — Młodym do życia, staremu do grobu! Żeby go ino te prusaki nie przemienili. Głupie to, choć dobre. Serce na dłoni dla każdego. Wroga ukochać potrafi i krzywdy zapomni! A wier ty nieboże, obiecankom i złotym słówkom prusaka. Krwią serdeczną, albo łzami opłacić ci to przyjdzie. Wydrze ci majątek, zdradzi, a i duszę ci odmienić potrafi. Stara ja Nastuś, stara, ale niejedno ja już widziała i słyszała! Od wroga, co cię gnębi, uciekaj jak od zarazy. Miodowe jego słówka, ale chytre zamiary. Jak ci bestja prześwidruje temi ślepiami, to myśli nie ukryjesz — a coś tam tak cię zabolii, jakby cię gadzina ukąsiła jaka!

Minęła zima — długa, ciężka zima dla starej Jagi i Nastki. Nastala wiosna a z nią i otucha wstąpiła do serca obu kobiet. I listy od Tomka weselsze bywały — znikło przygnębienie pierwszych miesięcy. Nastka dnie spędzała na robocie w polu — to z ojcem szła do siewu — to obiad bratu w dwójakach poniosła, to w izbie się zakrzętnęła i biegła

czempredzej starej wdowie pomódz w okopywaniu ziemniaków, lub pieleniu kapusty. A wieczorem powracały zmęczone, by przy świetle tlejącej się słabo łożówki odczytywać po raz setny list kaźden od Tomka, lub gwarzyć o nieobecny.

To znowu w niedzielę albo w święto, gdy ci-sza zaległa pola, a na ziemię wonną szedł ten dzi-wny spokój, co ukojenie daje tęsknocie, szła Nast-ka na pobliskie wzgórze, by podumać trochę o tym jedynym jej chłopcu, o tem wielkiem ukocha-niu, które objęło jej duszę. I szła jej myśl, het! aż po las siny i ciemny, za ten szlak złoty, niksący na widnokręgu, w tę daleką, nieznaną krainę, gdzie przebywał Tomek — w te odległe krainy, napeł-niające ją zabobonnym strachem i wrodzoną nie-chęcią. Raz wczesnym rankiem niedzielnym wbie-gła wystrojona do chaty Jagi.

— Matus — zawołała z progu — zbierajcie się a żywo, musimy przed procesją stanąć w ko-ściele. Księdzu proboszczowi na ofiarę niosę, niech się pomodli za Tomka. Cosik mnie dziwnie mary trapią po nocach.

— Dobra z ciebie dziewczyna — odrzekła stara, wyciągając kraciatą chustkę z zielonej skrzynki — ale skąd ty taką moc pieniędzy Nastuś na-brała — dodała, widząc jak Nastka wydobywa z za stanika, w czerwonej szmatkę owinięty pulares z pieniędzmi — dyć to przednowek przecie.

— Anibyście matus zgadli — ze dworu na-brałam siła worków do naprawiania, a kiedyś wi-sien w sadzie narwałam z Józkiem i na jarmark nieść mu kazałam i ot! uzbierało się jakoś!

— Córka rodzona lepsza by nie była, jak ty, Nastuś — westchnęła Jaga — głaszcząc złote war-kocze dziewczyny. Myślałam i ja z ofiarą iść do księdza proboszcza, ale cóż? grosza u mnie ani na przynętę. I mnie czegoś ciężko na duszy. Pójdźmy!

Wązką, krętą, wśród pachnących pól ścieżyną do kościoła podążyły. Dzień był upalny — pogo-dny. Powietrze czyste, na niebie ani chmurki, a woń silna biła od łąnów złotych, szemrzających i koni-czyn w okwiecie. Cicho było na polach — tylko świerszcze ćwierkały i przepiórki nawoływały na łące. Gorąco, ze łzami w oczach modliła się dnia tego Nastusia. Nie poszła jak zwykle zająć swoje miejsce pomiędzy dziewczętami, zbitemi w gro-madkę po prawej stronie kościoła — uklękła przy bocznym ołtarzu, pod amboną i nie wstała aż cała pstrokata fala ludzi ruszyła po sumie na cmentarz.

Przed kościołem spotkała się z Jagą, gwa-rzącą z kumoszkami.

— Cóż to, Nastuś, ponoś Walek swatów na-syłał do ciebie — zaczepiła ją stara Marjanna, znana we wsi bajczarka — a tyś do komory się skryła? Ej! nie droż ty się, dziewczyno, na cóż czekasz, przegrymasisz najładniejsze latka — i na koszu ostaniesz, rutkę siać.

— Nie wasza to rzecz — odcięła się — ino moja.

(Dok. nast.)



FELIKS PRZYSIECKI.

Erotyk.

*Nigdy nie będziesz imieniem nazwana
I wiem, że nigdy nie odnajdę Ciebie,
Kochanko moja — Ziemi obiecana —
Ofiara z gwiazd mych pali się na niebie.*

*W głębiach twych oczu śpi wielka godzina
I masz być dla mnie skarb niosącą falą,
Ale nas dzieli bezbrzeżna głębina,
Więc wiecznie będziesz nieuchwytną dalą.*

*O! będziesz dla mnie nieuchwytną dalą —
Kochanko moja — Ziemi obiecana —
Tęsknoty moje we łzy się kryształą —
Nigdy nie będziesz imieniem nazwana...*



Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

(Ciąg dalszy.)

Kwestja snu normalnego, przy obecnym stanie zwyczajów, ustalonych cywilizacją niniejszą jest pra-wie całkowicie zaciemniona skutkiem używania po-wszecznego trucizn narkotycznych w postaci napo-jów alkoholowych, które wpływają w znacznej mie-rze na charakter snu; w najnowszych czasach grozi nam nowa kłęska, w postaci cukierków i ciastek rumowych i koniakowych. Mężczyzna, który się opił

przed snem całymi „bombami“ piwa, kobieta, która się uraczyła „herbatką z rumem“, albo spożyła sporo ciastek z koniakiem, niemowlę nakarmione z piersi matek i mamek mlekiem, alkoholem zatrutem — śpią snem podwójnym, przyzwyczajeniowym i alkoholowym. Również i senne marzenia pod wpływem alkoholu przybierają zwykle charakter dziwny i przerażający. Do tej kategorii marzeń należą np. marzenia senna Juljusza de Goncourt'a, który opowiada, że pewnego razu śniło mu się, iż zniewolony był do nagłego wyjazdu w sprawie pilnej, nie cierpiącej zwłoki. Piechotą nie chciał odbywać drogi uciążliwej i dalekiej, a że nie miał konia, więc dosiadł kurę i na niej konno odbył podróż szczęśliwie. Podobnego rodzaju marzenia senna mają zwykle miejsce po libacjach wieczornych, a któż bez nich dzisiaj w świecie cywilizowanym obejść się potrafi?

Dla snu normalnego koniecznymi są warunki takie: zdrowie ciała, spokój umysłu, pewność o bezpieczeństwo osobiste. Chorzy na ciełe i umysłe śpią źle, budzą się często, przewracają się z boku na bok, sen ich nie osłabia się w kierunku ku chwili obudzenia, jak to zwykle bywa przy śnie normalnym, lecz przeciwnie miewają oni sen najgłębszy nad rankiem, albo za dnia nawet; zrozumiałym jest tedy ów fakt „długiego spania“, które jest właściwym wszystkim tym, którzy piją trunki wyskokowe z wieczora, bo oni muszą przespać wprawdzie, ażeby dopiero później mieć sen właściwy; to też większa część mieszkańców miast podlega chorobie „późnego wstawania“. Choroby przewodu pokarmowego wywołują najczęściej bezsenność. Choroby płuc i dróg oddechowych męczą śpiącego częstym przebudzaniem. Niepokój umysłowy, praca wytężona mózgu, wpływają bardzo niekorzystnie na charakter snu i powodują bezsenność, albo silne marzenia senna, wywołujące nagłe przebudzenie. Najgorzej jednak działa na sen obawa o bezpieczeństwo osobiste, człowiek dręczony taką obawą, zrywa się ze snu nieprzytomny i popełnia najnielogiczniejsze czynności. Tak np. prof. szkoły głównej w Warszawie, magister zool., Konstanty Górski, drżał przed aresztowaniem, otóż w czasie ostatniego powstania, nocując w hotelu, gdy usłyszał przez sen brzęk szabel na korytarzu, rzucił się nieprzytomny, nawpół senny do okna i wyskoczył z drugiego piętra na bruk. Znałem dziewczynę wiejską, którą przewożono na małej żaglowej „szkunie“ z jednej miejscowości na drugą i gdy już zarzucono kotwicę w przystani i nazajutrz rano miano wylądować, udała się dziewczyna na spoczynek do kajuty, bo całą

dobę nie spała z powodu obawy przed utonięciem. Gdy usłyszała następnie we śnie uderzenie fali o boki szkuny, śniło się jej, że statek tonie, nieprzytomna wybiegła na pokład i rzuciła się z „bortu“ do morza, a tylko dzięki przytomności majtka, stojącego na warcie, ocaloną została. Dr. Cezary Morawski, „sekretarz Litwy“ w byłym rządzie narodowym tak bał się szubienicy, że gdy go aresztowano i osadzono w więzieniu na „Pawiaku“, chwili zdrzemnąć nie mógł, ażeby przez sen nie wołać strasznym głosem, że go wiedzą na szubienicę, ta obawa przed śmiercią stała się powodem, iż wydał przed sądem wojennym całą organizację i w ten sposób uniknął stryczka.

De Lautrec przypuszcza, że człowiek, który w sennych marzeniach swoich widzi szafot, albo szubienicę, gdy mu się zdaje np. że wstępuje na rusztowanie, że mu zakładają stryczek na szyję, lub że nóż gilotyny dotyka jego karku, nigdy nie śni aż do końca tej śmiertelnej katastrofy; więc na mocy takiego przypuszczenia, stawia autor rzeczony hipotezę, że gdyby człowiek śnił marzenia swoje do końca, toby nastąpiła niechybnie śmierć jego. W dalszym ciągu swych dowodzeń powiada De Lautrec, że owe tajemnicze, nagłe rozstania się z życiem wielu osób podczas snu, powodowane bywają nie dość wcześnie przerwanem marzeniem sennem o egzekucji, dokonywanej nad niemi. Może hipotezy te są słuszne, ale przekonać się o tem dowodnie chyba nie będziemy nigdy w stanie, albowiem umarli z grobu nie wstają, ażeby nam mogli opowiedzieć o swych marzeniach sennych.

Gdybyśmy nawet przyjęli hipotezę De Lautrec'a za prawdopodobną, to jej jednak do wszystkich wypadków stosować nie możemy, znane mi są bowiem także fakta, gdzie ludzie nawet tchórzliwego charakteru, którzy ze swem wrodzonym tchórstwem wcale się nie kryli, mieli senna marzenia o swojej śmierci a jednak marzenia te przeżyli, tak n. p. opowiadał mi malarz Stanisław Wroński, że w czasie, gdy służył w szeregach powstańczych, śniło mu się, iż został w pewnej potyczce trafiony kulą karabinową w same czoło, że padł na miejscu i że go wrzucono z innymi zabitymi do wspólnej jamy, na polu bitwy. Następnie Hochhauser, osadzony na powieszenie przez sąd wojenny w Warszawie, miał senna marzenie na tydzień przed egzekucją i opowiadał nam szczegóły widzenia swego z taką dokładnością, jak gdyby był obecny przy akcie wieszania.

Wogóle człowiek miewa senna marzenia najczęściej o tych przedmiotach i o tych kwestjach, które

go najsilniej obchodziły w czasie czuwania. Jedną z właściwości najczęstszych marzeń sennych jest dziwaczne powiązanie pojęć, zarazem brak zwykle wszelkiego krytycyzmu. Jest to coś podobnego do stanu podchmielenia podczas czuwania. Często przedmioty przedstawiają się marzącemu w nedoręcznych rozmiarach, następnie łączą się pojęcia, których na jawie niktby łączyć nie śmiał. Ale też z innej strony mogą widzenia senne powstawać i rozwijać się z całą logicznością myślenia rozumnego. Zdarza się to rzadko i przeważnie wtedy, gdy uwaga w czasie czuwania była skoncentrowana na jednym przedmiocie, na jednej kolei wypadków, gdy jedne i te same części kory mózgowej pobudzane były we dnie w ciągu dłuższego czasu przez jeden i ten sam temat myślowy. Tak n. p. Wroński i Hochhauser, mając ciągle na myśli temat bliskiej śmierci, mieli marzenia senne o śmierci zupełnie logiczne. Wolter miał układać śpiąc bardzo zgrabne wiersze. Dla wywo-

łania marzeń sennych potrzebne są pobudki bądź zewnętrzne, bądź wewnętrzne. Co do pierwszych to wiadomo jest z licznych doświadczeń, że zapach perfumy n. p. wywołuje marzenia senne o rozkasznych ogrodach kwiatowych. Znam podobny wypadek, który miał miejsce z rekonwalescentką w Władystoku. Marzenia senne przeniosły ją na brzegi Wilejki, skutkiem tego, że do jej pokoju, gdzie spała, wniesiono bukiety konwalji. Następnie był świadkiem, gdy rozmowa, prowadzona w języku niemieckim wobec śpiącego więźnia w Irlucku przeniosła go we śnie do Dorpatu. Po przebudzeniu, nieświadomy przyczyny swych marzeń sennych opowiadał nam szczegóły widzenia z największą precyzją, wymieniał nazwiska profesorów uniwersytetu, imiona i pseudonimy kolegów dawno na jawie przez niego zapomnianych.

(C. d. n.)

Dr. Benedykt Dybowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA

Witanowski Rawita Michał. Kłodawa i jej okolice pod względem historyczno-ludoznawczym. Warszawa. 8-ka. str. 225.

Praca zasłużonego krajoznawcy dzieli się na trzy części, a mianowicie: opis Kłodawy pod względem historycznym, Kłodawskich stron pod względem ludoznawczym i dyplomatarjusz. Pomiedzy temi odrębnymi grupami została doskonale zachowana ścisła proporcja. Materiał historyczny wyczerpał autor starannie, sięgając do zbiorów rękopiśmiennych i archiwalnych, materiał zaś ludo-

znawczy opracowany został słabiej z prawdziwą szkodą dla tej monografii. Szereg ilustracji odtwarza starodawne zabytki Kłodawy, choć brak ich znowu daje się dobrze odczuwać w dziale etnograficznym. S. Z.

Jeremi Zora (H. Zalewski) Nasze dwory i dworki. Kraków.

Na tomik złożony się dwie dłuższe nowele: Historia, jakich wiele i Weseli spadkobiercy. Autor kreśli barwnym językiem stosunki majątkowe podupadłej, zadłużonejszlachty, która szuka pomocy materialnej w bogatym ożenku. Bezustanne zabiegi,

oszukiwania się wzajemne, intrygi i wogóle cały aparat podstępny idzie w ruch na wszystkie koła, byle tylko posag, byle wydać córkę za majątnego. W rezultacie, wszyscy padają ofiarą intryg. Takie to jest w obydwu pokrewnych sobie nowelach. Obserwacja życia i charakterystyka osób jak nie mniej spory zasób humoru w scenach przykuwają uwagę czytelnika. Szkoda, że autor tu i ówdzie użył gwary ludowej, której nie zna i na tym punkcie popełnił wiele błędów językowych. K. Kr.

ZAPISKI.

Źródło pierwotne pieśni legionów. Wiadomo, że twórcą pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła” jest Józef Wybicki, który napisał ją w r. 1799 podczas wyprawy neapolitańskiej Championneta. Autograf znajduje się w księgozbiornie Kajetana Kraszewskiego i w podobiznie rozestany był do kilkunastu bibliotek. Obecnie podaje Tadeusz Korzon (w „Kurjerze warszawskim”), co było pobudką dla Wybickiego do napisania tej precudnej pieśni. Cto w papierach jednego z najwybitniejszych legionistów, późniejszego jenerała Ksawerego Kosseckiego, przechowanych przez jego

wnuczkę pnę. Zofję Kossecką, znalazły się bruljony listów, dyktowanych przez Kościuszkę po przyjeździe do Paryża w połowie lipca 1798 r. i adresowanych do starszyny legionowej. List do Wybickiego zawiera żądanie, czyli raczej zalecenie zatrudnić się wpajaniem zapału obywatelskiego w umysły żołnierzy. „Potrzebamy katechizm republikański ułożyć dla nich... Znasz, ile pieśni entuzjazmu wpajają w dusze ludzi, co dyszą za wolnością... Przyjaźń Twoja dla mnie — pisze Kościuszko dalej — ośmiela mię do włożenia na ciebie tych obowiązków, które ci

zdatność twoja tem łatwiejszemi do wykonania sprawi, iż czujesz ich dopełnienia cel i potrzebę“.

Wybicki, dowiedziawszy się z gazet o przybyciu Kościuszki z Ameryki, wyjechał umyślnie z Rzymu do „Milanu“ (Medjołanu) i tu otrzymał list „wielce miły“ z rąk Tremu i Wasilewskiego. Odpowiedział z najgorętszem uwielbieniem dla „cnotliwego męża“. Wybicki napisał więc pieśń dla legionów a źródłem pierwotnym, z którego zaczerpnął jej tchnienia, była zachęta K